

Jedno spotkanie wystarczy, by przeszłość powróciła tam,
gdzie wiatr niesie tajemnice

18+

Kiedys byłaś moja



K.A. ZYSK

Red

K.A. ZYSK

*Kiedys
bylas moja*

Red

Copyright © 2026 by K.A. Zysk

Copyright for this edition © 2026 by Axis Mundi

REDAKTOR PROWADZĄCY: Marta Szelichowska

REDAKCJA: Klaudia Opozda

KOREKTA: Renata Minior

KOREKTA TECHNICZNA: Basia Borowska

PROJEKT OKŁADKI: Izabela Surdykowska-Jurek

ZDJĘCIE AUTORKI: Archiwum prywatne Autorki

SKŁAD: Positive Studio

WYDANIE I

ISBN PRINT: 978-83-8412-593-9

ISBN E-BOOK: 978-83-8412-594-6

ISBN ABONAMENT: 978-83-8412-595-3

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część książki nie może być wykorzystana bez zgody wydawcy.

Niniejsza powieść stanowi wytwór wyobraźni, a wszelkie podobieństwo do osób żyjących lub zmarłych, wydarzeń i miejsc jest całkowicie przypadkowe.



Na zlecenie Woblink



woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Błaszczuk

*„Czasem trzeba iść dalej bez niektórych ludzi.
Jeśli mają być w twoim życiu, dogonią cię”.*

Mandy Hale

Od Autorki

Drodzy Czytelnicy! Bardzo się cieszę, że trzymacie w rękach tę książkę. To opowieść o drugiej szansie, powrocie po latach, skrywanych sekretach i niespodziewanych spotkaniach. Akcja toczy się w Cheyenne, w klimacie rozległego rancza, gdzie każdy zakątek ma swoją historię, a każda postać coś do ukrycia.

Mam nadzieję, że podczas lektury poczujecie magię tego miejsca, poznacie bohaterów i będziecie towarzyszyć im w odkrywaniu prawdy i tworzeniu nowych początków. Życzę Wam, aby ta historia wciągnęła Was tak samo, jak mnie wciągnęło jej pisanie.

Prolog

Leah

Urodziłam się i wychowałam w Cheyenne, w stanie Wyoming. To właśnie tutaj poznałam chłopaka, który zatrzęsł moim światem w posadach.

Był moją pierwszą i jedyną prawdziwą miłością. Świata poza sobą nie widzieliśmy. Byliśmy jak papużki nierozłączki. Nikt nie miał prawa nas rozdzielić.

Milan jest synem jednego z największych ranczerów w naszym stanie. Ranczo Double H, którego nazwa pochodzi od inicjałów ojca Milana – Harolda Halla – słynie z hodowli bydła oraz koni. Ich ziemia rozciąga się na jakieś dwieście tysięcy akrów, a może nawet więcej.

Jak doszło do naszego spotkania? Już tłumaczę. Mój tata jest weterynarzem i prowadzi w naszym mieście rodzinną klinikę BluePearl. Często był wzywany do chorych zwierząt na gospodarstwo Hallów. Pewnego razu zabrał mnie ze sobą, ponieważ potrzebował pomocy. To właśnie wtedy, w stajni, po raz pierwszy zobaczyłam syna właściciela – Milana Halla.

Nigdy nie zapomnę, jak bardzo mnie zauroczył. Wysoki, muskularny, niebieskooki blondyn z pełnymi wargami i idealnie zarysowanym nosem. Miał na sobie sprane jeansy i koszulę w niebieską kratę, w dłoni trzymał brązowy kapelusz. A na nogach –

o zgrozo – kowbojki! Jego umięśnione ciało wyraźnie rysowało się pod ubraniem, co sprawiło, że momentalnie zrobiło mi się gorąco. Miałam wrażenie, jakby wyrzeźbił go sam Michał Anioł.

Byłam w niego tak zapatrzona, że po brodzie pewnie ciekła mi ślina, ale kto by się tym przejmował. Jego uśmiech dosłownie mnie oślepiał. Staralam się jednak trzymać fason, nie chciałam się przed nim wygłupić, chociaż pewnie i tak było widać, że gapię się na niego jak cielę w malowane wrota.

Z drugiej strony, czemu tu się dziwić? Miałam tylko osiemnaście lat i dopiero co wchodziłam w dorosłość. Dostrzegłam męskie piękno i po prostu je podziwiałam, a to przecież nie jest zbrodnią. Bo nie jest, prawda? Milan był jak najbardziej w moim typie. Właśnie tak wyobrażałam sobie ideał faceta.

Ja też wpadłam mu w oko. Widziałam, jak perfidnie mnie obczajał, nawet się z tym nie krył.

Mama zawsze powtarzała, że mam anielską urodę i jestem śliczną dziewczyną. Chłopcy co prawda czasem się za mną oglądali, ale ja nigdy nie byłam zainteresowana randkami czy związkami. Aż do tamtej chwili. W jednej sekundzie wszystko się zmieniło.

Zacząłam coraz częściej przyjeżdżać z tatą do Double H i praktycznie za każdym razem spotykałam tam Milana. Jakby z góry zakładał, że będę towarzyszyć ojcu. Cóż, jeśli tak było, miał rację. Raz, że chciałam go zobaczyć. Dwa, kocham zwierzęta i w przyszłości, tak jak tata, chciałam zostać weterynarzem oraz pracować z nim w naszej rodzinnej klinice, którą kiedyś pewnie po nim odziedziczę.

Z biegiem czasu nasze spotkania stawały się coraz częstsze. Młody Hall z ogromną pasją opowiadał mi o hodowli i życiu na ranczu. Słuchałam go z zaciekawieniem i prawdziwym zainteresowaniem.

Kochał konie, a jego ulubioną rasą były te czystej krwi arabskiej. Pokazał mi, a właściwie przedstawił, dwa swoje ogiery – Whiskey oraz Zorro. Ten pierwszy był ciemnobrązowy, a drugi czarny jak noc. Oba miały lśniąca sierść i były naprawdę piękne i znakomicie zadbane.

Gdzieś po ponad miesiącu od naszego poznania Milan zaprosił mnie na randkę. Z początku byłam zawstydzona i dość sceptycznie do tego nastawiona. W końcu to Hall, bogaty chłopak, który raczej nie zadaje się z kimś o moim statusie. Jestem przecież tylko córką weterynarza, a on miał w przyszłości stać się grubą rybą i właścicielem Double H.

Nie mam pojęcia, co on we mnie widział. Bez najmniejszego wysiłku mógłby mieć każdą laskę. Był starszy ode mnie o pięć lat, więc jakby nie patrzeć, miał już doświadczenie i wiedział, jak obchodzić się z dziewczynami.

Nie byłam pewna, czy to dobry pomysł, ale po wielu namowach wreszcie się zgodziłam i nie żałuję. Myślałam, że od razu będzie chciał dobrać się do moich majtek – nic bardziej mylnego. Był gentlemanem w pełnym tego słowa znaczeniu. Owszem, czasem kradł mi pocałunki, lecz cierpliwie czekał, aż będę gotowa pójść o krok dalej. I się doczekał.

Najzabawniejsze w tym wszystkim było to, że... powiadomił mnie, nie zapytał, że jestem jego kobietą. Tak po prostu. Nie miałam nic do gadania. I choć brzmiało to zuchwale, było w tym coś rozczulającego. W jego oczach widziałam, że naprawdę mu na mnie zależy.

Wszystko między nami układało się, powiedziałabym, wręcz perfekcyjnie. Byliśmy razem od dwóch lat i był to cudowny okres. Wydawało mi się, że jesteśmy naprawdę szczęśliwi.

Do czasu...

Bez żadnego ostrzeżenia moje serce zostało bezlitośnie wyrwane z piersi, a jego zakrwawione strzępy rzucono prosto pod moje nogi.



Dziesięć lat wcześniej

Jak zwykle umówiliśmy się przy bocznym wejściu na ranczo Double H, od strony rzadko używanej przez pracowników. Tam mieliśmy spokój i prywatność. Niedaleko znajdowała się nasza ulubiona miejscówka, tuż przy jeziorze.

Za kilka dni wypadają święta Bożego Narodzenia, a ja mam dla niego mały upominek. To nic wielkiego, ale liczę na to, że sprawi mu choć odrobinę radości.

Milan już na mnie czeka. Na jego widok mam ochotę rzucić mu się na szyję, lecz on wcale nie wygląda na zadowolonego. Wręcz przeciwnie, jego mina jest zacięta i arogancka. Podchodzę do niego ostrożnie, próbując go dotknąć, by wy badać, co się dzieje, jednak odskakuje ode mnie jak poparzony. Boli mnie to, bo kompletnie nie rozumiem jego zachowania.

Jeszcze wczoraj wyznawał mi miłość, a dziś mam wrażenie, jakby nie chciał, żebym w ogóle tu była, przez co czuję się niepewnie.

– Milan, wszystko w porządku? – pytam spokojnie, choć w środku wszystko we mnie krzyczy.

– Z nami koniec – wypala nagle, patrząc mi prosto w oczy.

Przez moment wydaje mi się, że się przesłyszałam, lecz jego twarz pozostaje niewzruszona. Żadnego cienia wahania.

– Słucham? – szepczę z niedowierzaniem. Jestem w szoku, ponieważ wydaje mi się to niedorzeczne.

– Dobrze mnie usłyszałaś – odpowiada chłodno, kopiąc kamień, który przelatuje obok mojego buta. Ma zaciśniętą szczękę, a jego zęby zgrzytają ze złości.

– Dlaczego? – żądam wyjaśnień. – Co się stało? Zrobiłam coś nie tak? – zasypuję go pytaniami, próbując zrozumieć, czemu podjął taką decyzję.

Chyba że... przez te wszystkie lata mnie okłamywał. Nie, to przecież niemożliwe. On nigdy nie zrobiłby mi czegoś takiego. A jednak strach podsuwa mi najgorsze scenariusze.

Czuję się, jakbym trafiła do kiepsko wyreżyserowanego filmu. Z nerwów cała się trzęsę, a żołądek mam boleśnie ściśnięty. Zaraz naprawdę zwymiotuję ze strachu.

– Nie chcę cię – warczy.

Jego głos jest twardy i nie pozostawia miejsca na wątpliwości.

– Ale jak to? – podnoszę głos. – „Nie chcę cię” to nie odpowiedź!
– Teraz już krzyczę. – Do cholery, mów!

Prostuje się z lekkim zachwianiem, lecz unosi głowę wyżej. Wypowiada trzy słowa, które przecinają mnie na wskroś.

– Znudziłaś mi się.

Jego wyzute z emocji stwierdzenie uderza mnie niczym cios w brzuch. Zataczam się do tyłu. Łzy natychmiast pojawiają się w moich oczach, a jedna, zdradziecka, spływa po moim policzku. Nie chcę się rozklejać, ale chcę, żeby widział, co mi robi i jak bardzo mnie krzywdzi.

– Nie wierzę ci – mówię, ocierając mokrą twarz, bo tama w końcu puściła.

– To twój problem, Leah – wypluwa z pogardą, jednak to nie koniec. – Byłaś dla mnie tylko zabawką. W końcu bogaci dostają wszystko, czego tylko zapragną, nieprawdaż? – Dobija mnie bezlitośnie. – Chyba nie masz zamiaru błagać mnie, żebym cię nie zostawiał? Albo żebym nadal wkładał w ciebie fiuta? Tylko byś się zbłaźniła – prycha z rozbawieniem.

Doskakuję do niego i bez zastanowienia wymierzam mu siarczysty policzek. Jego głowa odskakuje w bok, lecz on nawet nie drgnie. Na jego twarzy momentalnie wykwita czerwony ślad. Zaczyna rozmasowywać bolące miejsce, parszcząc śmiechem.

– Ty... skurwielu – szepczę. Głos więźnie mi w gardle. – Nienawidzę cię, Milan. Brzydzę się tobą.

– I bardzo dobrze. A teraz spływasz stąd, dziwaczko – wygania mnie, jakbym była jakimś bezpańskim psem. – Nigdy więcej nie zbliżaj się do tego rancza, kapujesz?

– Jesteś najgorszą rzeczą, jaka mi się w życiu przytrafiła – szlocham, załamana.

– Na ciebie pora – syczy zjadliwie. – Spieprzaj stąd. – Dotyka palcami runda kapelusza, po czym odwraca się, wskakuje na konia i odjeżdża, ani razu nie oglądając się za siebie.

Nawet nie pamiętam, jak pokonuję drogę powrotną do domu. Jednak gdy do niego docieram, zamykam się w swoim pokoju i opłakuję stratę, nie tylko jego, ale też części siebie, którą przy nim zgubiłam.



Dni zmieniają się w tygodnie, a ja snuję się po domu niczym cień. Nie wiem, co ze sobą zrobić. Rodzice zamartwiają się i ciągle pytają, co się stało, lecz nie potrafię nic im powiedzieć. Nie chcę. To zbyt świeże. Zbyt bolesne.

Mimo tego nie mam wyboru. Moje młode życie właśnie wywróciło się do góry nogami. Pora wziąć byka za rogi. Czy tego chcę czy nie, muszę im się do czegoś przyznać.

Bo choć Milan mnie zostawił, to na odchodne pozostawił po sobie coś... a właściwie kogoś, kogo muszę chronić, wychować i kochać z całych sił.

Nasze dziecko.



Mijają miesiące, a moja ciąża zaczyna być coraz bardziej widoczna. Nie chcę, żeby Milan się o niej dowiedział, bo nie zasłużył, by być częścią tego życia, które we mnie rośnie.

W porozumieniu z rodzicami i siostrą mamy postanowiliśmy, że przeprowadzę się do Dallas. Ciocia przyjmie mnie pod swój dach, pomoże zająć się maleństwem i umożliwi mi spokojne dokończenie studiów.

To dla nich cios. Ubolewają, że ich jedynaczka wyjeżdża i że nie będą przy mnie wtedy, gdy najbardziej ich potrzebuję. Jednak

wiemy, że to najlepsze rozwiązanie.

Będą mnie przecież często odwiedzać.

Bez zbędnych słów pakuję swoje rzeczy i żegnam się z Cheyenne.

Opuszczam rodzinny dom. Miejsce, w którym dorastałam, gdzie po raz pierwszy pokochałam... i gdzie złamano mi serce.

Zostawiam za sobą przeszłość, by rozpocząć nową przyszłość.

Rozdział pierwszy

Leah

Obecnie

Coś wyrywa mnie z błęgiego snu.

Zerkam na ustawiony na nocnej szafce zegarek, który wskazuje, że jest trzecia w nocy. Wciąż otępiała i zaspana, nie do końca rozumiem, co się dzieje. Nagle mój telefon zaczyna gwałtownie dzwonić, po czym milknie, lecz parę sekund później rozdzwania się na nowo. Kto się dobija do mnie o tej godzinie? Czy ta osoba nie wie, że ludzie o tej porze nadal śpią?

Sięgam po komórkę. Na ekranie wyświetla się numer mojego ojca. Momentalnie jestem całkowicie rozbudzona i siadam sztywno na łóżku. Wiem, że to nie jest zwykły telefon, bo o tej porze nikt nie dzwoni bez powodu.

– Tato – odbieram z bijącym sercem.

– Leah... musisz jak najszybciej przyjechać do Cheyenne – mówi zachrypniętym, roztrzęsionym głosem. – Mama... ona... Mama jest na sali operacyjnej.

– Co się stało? – pytam, przeczuwając najgorsze.

– Pękł jej tętniak... w głowie. – Ojciec dławi się płaczem, a mnie żołądek podchodzi do gardła.

Wyskakuję z łóżka jak rażona prądem i wstrząśnięta stoję na środku sypialni.

O mój Jezu, nie!

To się nie dzieje naprawdę, to się nie dzieje naprawdę... Powtarzam to sobie jak mantrę.

– Jak to tętniak? – Ręce zaczynają mi się trząść i z trudem utrzymuję telefon przy uchu. – Mama miała tętniaka?

– Córciu, potrzebuję cię tutaj... – W głosie taty słyszę błaganie. – Porozmawiamy, jak już do mnie dołączysz. Wtedy wszystko ci wyjaśnię.

– Będę najszybciej, jak się da – zapewniam i się rozłączam.

Sięgam po zawieszkę w kształcie kompasu, którą kiedyś dostałam od Milana, i pocieram ją nerwowo palcami. Zawsze mnie to uspokajało, lecz dziś ten manewr nie działa.

Biorę kilka głębokich oddechów, po czym otwieram laptopa, by sprawdzić połączenia z Dallas do mojego rodzinnego miasta. Znajduję jedno z przesiadką w Denver.

Wkurzam się, gdyż cały lot zajmie mi ponad pięć godzin, gdzie w tej sytuacji to dla mnie cholernie długo. Ojciec potrzebuje mojego wsparcia na już.

O ósmej trzydzieści rano mam samolot, więc czym prędzej rezerwuję lot. Jest już prawie czwarta. Mam ledwie dwie godziny, żeby się spakować i ogarnąć.

Bez chwili namysłu sięgam po walizkę podróżną i zaczynam wrzucać do niej pierwsze lepsze ubrania. Nie mam głowy ani cierpliwości, by stać przed półkami i zastanawiać się, co zabrać. W końcu to nie wyjazd dla przyjemności.

Dopakowuję kosmetyczkę z najpotrzebniejszymi rzeczami i zapinam torbę. W międzyczasie wkładam do mniejszej torebki dokumenty i drukuję bilety. Gdy wszystko jest gotowe, idę do sypialni Leo, żeby go także spakować.

Mój słodki chłopczyk śpi spokojnie i tak beztrosko. I wtedy mnie to uderza: wracamy do Cheyenne. Jest bardzo prawdopodobne, że natkniemy się tam na Milana.

Nie widziałam go od dziesięciu lat i wciąż nie mam na to najmniejszej ochoty.

Tamtego feralnego dnia mnie zniszczył. Przez lata starałam się zamknąć jego istnienie w najgłębszym zakamarku mojego umysłu. Muszę przyznać, że całkiem dobrze mi to wychodziło. Ale teraz przeszłość może do mnie wrócić z siłą rozpędzonego pociągu towarowego i niezbyt mi się to podoba.

Milan nie wie, że ma syna. Nigdy w żaden sposób nie próbowałam sprawić, by się o tym dowiedział. Nie kontaktowałam się z nim, a rodzicom kategorycznie zabroniłam cokolwiek mu mówić. Może źle postąpiłam, pozbawiając Leo ojca, lecz byłam wtedy załamana. Nie chciałam, żeby jeszcze raz wkroczył w moje życie. To za bardzo bolało.

Przecież mnie nie chciał, z pewnością wyparłby więc się także jego. Leo wcale nie potrzebuje ojca. To ja mu go zastępuję i wierzę, że robię to dobrze.

Wyjmuję jego ubrania z szuflady, składam je w zgrabną kupkę, sięgam pod łóżko po małą walizkę z wizerunkiem Spider-Mana, po czym pakuję wszystko do środka. Przygotowuję rzeczy na podróż i pozwalam mu jeszcze chwilę pospać.

Martwię się o mamę i boję się tak bardzo, że nie potrafię znaleźć sobie miejsca. Serce przepełnia mi niepokój, lecz odganiam czarne scenariusze i staram się myśleć pozytywnie, bo inaczej chyba bym zwariowała.

Jak na autopilocie zamawiam taksówkę, ogarniam się w pośpiechu i kiedy jestem gotowa, wracam do sypialni synka, by go obudzić.

– Leo – szepczę, lekko potrząsając jego ramieniem. – Skarbie, musisz wstać. – Całuję go w policzek.

Otwiera zaspane oczy, przeciera je i przeciąga się, a potem siada.

– Mamusiu, czemu mnie budzisz tak wcześnie? Przecież jest jeszcze noc – mówi i wskazuje na okno.

Faktycznie, dopiero zaczyna się przejaśniać. Mamy lato i wakacje, ale dla niego poranek zaczyna się dopiero wtedy, gdy słońce jest wysoko i jasno świeci.

– Musimy jechać do dziadków, do Cheyenne, ponieważ babcia jest w szpitalu – tłumaczę mu spokojnie. – Leć, proszę, umyj zęby, a ja w tym czasie przygotuję ci coś do zjedzenia. Niedługo przyjedzie kierowca, żeby zawieźć nas na lotnisko – dodaję.

– Co się stało? – pyta przejęty. – Czy z babunią wszystko dobrze?

Żebym to ja tylko wiedziała. Operacja wciąż trwa, a nowych informacji nadal brak.

– Dowiemy się więcej, gdy będziemy na miejscu. – Ściskam go delikatnie za rękę. – A teraz szybciotko pędź do łazienki. I włóż to, co ci przygotowałam. – Wskazuję na ubrania, leżące na krześle przy biurku.

– Tak jest, mamusiu szefowo! – Salutuje mi z powagą i wychodzi z pokoju.

Uśmiecham się pod nosem. Leo jest pociesznym dzieckiem i moim małym promykiem słońca. To on nadaje mojemu życiu sens i wiem, że gdyby nie on, nie podniosłabym się tak szybko po tamtych wydarzeniach. Jednak po chwili mój uśmiech gaśnie. Myśl o mamie wraca z pełną siłą, a strach znów chwyta mnie za gardło.

– Boże, błagam, nie pozwól, by coś jej się stało – wysyłam swoje modlitwy do Boga, chwyając się nadziei, że ją ocali.

To jeszcze nie jest jej czas.

Przygotowuję Leo owsiankę z owocami, sobie robię mocną kawę, a potem nagrywam wiadomość głosową do mojej przełożonej, która jest jednocześnie moją przyjaciółką. Mówię, że z powodów osobistych muszę natychmiast polecieć do domu rodzinnego i że wszystko jej wyjaśnię, gdy tylko dotrę do Cheyenne.

Punkt szósta podjeżdża nasz transport, aby zawieźć nas na lotnisko Dallas-Forth Worth, skąd wyruszymy do miejsca, z którym pożegnałam się dekadę temu.



Cheyenne nic a nic się nie zmieniło. Przez te dziesięć lat mojej nieobecności miasto nie przeobraziło się ani trochę.

Do szpitala jadę wypożyczonym autem, które na szczęście udało mi się załatwić bez problemu. Minęło już wiele godzin, odkąd ostatni raz rozmawiałam z ojcem.

Zatrzymuję się na pierwszym wolnym miejscu parkingowym i razem z Leo pędzimy do środka. Dopadam do recepcji zdyszana jak

po maratonie.

– Moja mama miała dzisiaj operację w tym szpitalu. Chciałabym się dowiedzieć, na jakim oddziale teraz leży – wypowiadam jednym tchem, bez żadnego przywitania.

Młoda pielęgniarka nie zaszczycą mnie nawet spojrzeniem. Przerzuca kartki w segregatorze i spokojnie popija kawę, jakby nie zauważyła mojego istnienia. Złość momentalnie we mnie buzuje. Mam ochotę wytrącić jej ten kubek z ręki.

– Przepraszam – mówię ostrzej, przestępując z nogi na nogę, by nie wybuchnąć. – Zadałam pani pytanie.

Nie chcę przestraszyć Leo ani ściągać na siebie niepotrzebnej uwagi, ale to babsko nie pozostawia mi wyboru. Nadal mnie ignoruje, a ja nie mam czasu na takie gierki, więc przestaję się powstrzymywać.

– Odłóż ten cholerny kubek i odpowiedz mi na pytanie, zanim ci go wytrącę z ręki! – Uderzam dłonią w kontuar, za którym siedzi kobieta, i na nią krzyczę.

Wreszcie wywołałam w niej jakąś reakcję. Pielęgniarka unosi na mnie wzrok z wielce urażoną miną, jakby nie mogła uwierzyć, że ktoś śmiał zakłócić jej święty spokój.

– Proszę się uspokoić – odszczekuje śpiwnym tonem. – W przeciwnym razie powiadomię ochronę i zostanie pani wyprowadzona.

Ma tupet, pierdzielona. Tacy ludzie nie powinni tu w ogóle pracować. Kto zatrudnia takich niekompetentnych idiotów?

– Szpital to nie kawiarnia – syczę przez zaciśnięte zęby. – Tu się leczy ludzi i udziela informacji ich bliskim – pouczam ją. – A teraz proszę mi powiedzieć, na którym piętrze leży moja mama.

– Imię i nazwisko – warczy z fochem.

Mam to w dupie. W tym momencie interesuje mnie wyłącznie moja mama, a nie obrażona pielęgniarka.

– Marlene Thomson – odpowiadam.

Zaczyna wystukiwać coś na klawiaturze, wzdycha głośno i w końcu rzuca z niechęcią:

– Intensywna terapia. Szóste piętro.

Nawet jej nie dziękuję. Biorę Leo za rękę i biegniemy do windy. Na sam oddział nas nie wpuszczą, ale wiem, że tata czeka w poczekalni i nie ruszy się stamtąd, dopóki nie przewiozą jej na zwykłą salę.

Zastaję go siedzącego na krześle przy ścianie, zgarbionego i z twarzą ukrytą w dłoniach. Serce mi się kraje na jego widok. Jest przerażony i wykończony strachem o żonę. Wcale mu się nie dziwię. Moi rodzice świata poza sobą nie widzą.

Chciałabym kiedyś mieć to samo, co oni. Spotkać kogoś, kto pokocha mnie bezwarunkowo i zaakceptuje mojego syna. Teraz jednak nie pora na takie myśli.

– Tatusiu – wołam, podbiegając do niego. Siadam obok i wtulam się w jego wyciągnięte ramiona.

Zaczynam płakać, bo w jego uścisku wreszcie pozwalam sobie na moment słabości. Choć wiem, że muszę być silna dla niego, dla mamy, dla nas wszystkich.

– Dziadziu, babcia wydobrzeje. Nie martw się – mówi mój mądry chłopczyk i siada z drugiej strony, przytulając się do mojego ojca.

Pozwalamy sobie na chwilę wspólnej rozpacz, lecz w końcu zbieramy się do kupy. Pytam go o stan mamy. Pomyślnie przeszła kraniotomię, jest stabilna, ale najbliższe dwadzieścia cztery godziny

będą decydujące. Lekarze cały czas ją monitorują, sprawdzają, czy nie pojawią się żadne niespodziewane powikłania pooperacyjne.

Dopiero gdy się wybudzi, będą mogli ją dokładnie przebadać i ocenić, czy pęknięty tętniak nie spowodował żadnych nieodwracalnych zmian, które mogłyby utrudnić jej codzienne funkcjonowanie. Oby nic takiego nie miało miejsca.

Co by się nie działo, przejdziemy przez to razem, bo jesteśmy rodziną.

Siedzimy w milczeniu. Po chwili spoglądam na ojca. Odnoszę wrażenie, jakby w ciągu minionych godzin postarzał się o dobrych kilka lat. Martwię się o niego i nie mogę dopuścić, by i on pochorował się ze zmartwienia.

– Tato, idź do domu i prześpij się trochę, bo słaniasz się na nogach – proszę go cicho. – Ledwo się trzymasz. Ja tu zostanę. Jeśli lekarz będzie miał jakieś nowe informacje, od razu cię zawiadomię – obiecuję.

Spogląda na mnie, jakby nagle wyrosła mi druga głowa.

– Nie ma mowy. Nigdzie się stąd nie ruszę – oponuje stanowczo.
– Ty jedź i zabierz Leo do domu. Ze zmęczenia zasnął na tych twardych krzesłach.

Nie mam serca zostawiać go tutaj samego, wiedząc, jak bardzo się zamartwia. Choć próbuję, wiem, że i tak go nie przekonam. A on ma rację, Leo potrzebuje odpoczynku.

– Ta...

Przerywa mi gestem ręki, zanim zdążę cokolwiek powiedzieć. Dobrze wie, co chcę mu wcisnąć.

– Nie, Leah – kręci głową. – Jedź się odświeżyć i pozwól mojemu wnukowi porządnie się przespać w miękkim łóżku. Zjedzcie coś

i wtedy wróćcie.

– Ale... – zaczynam, lecz znowu mi przerywa.

– Żadne ale. Nie żartuję. Nie ruszę się stąd – oznajmia twardo. – Nic, nawet siłą, nie wyciągnie mnie z tego pomieszczenia.

Czuję się podle, zostawiając go samego, wiem jednak, że nie mam z nim szans. Jest nieugięty. Zrobię tak, jak mówi. Pojadę do domu i wrócę, jak tylko się ogarnę. Też chcę być blisko mamy, by czuła, że jesteśmy obok, choć nie możemy siedzieć tuż przy jej łóżku.

Chwilowo żegnam się z ojcem, podnoszę śpiącego syna i opuszczam szpital, po czym ruszam do domu.



Kładę Leo do łóżka w moim dawnym pokoju, a sama idę pod prysznic. Spędzam pod nim więcej czasu, niż planowałam. Zmywam z siebie stres i napięcie ostatnich godzin. Przebieram się w wygodne ubrania i schodzę na dół, by zaparzyć herbatę. Mam gulę w gardle, a o jedzeniu nie ma nawet mowy.

Z parującym kubkiem w ręce siadam na patio i tępo wpatruję się w krajobraz przed sobą. To ziemia należąca do Hallów. Jak na złość ranczo Double H znajduje się niedaleko naszego domu. Z Milanem widywaliśmy się często również dlatego, że mieszkaliśmy niemal po sąsiedzku.

Jego posiadłość jest naprawdę ogromna i ciągnie się aż po horyzont.

Zastanawiam się, jak przez te wszystkie lata zmienił się on sam. Czy nadal jest taki męski i przystojny? Czy ma narzeczoną? Żonę? Może dzieci? Jedno ma na pewno. Ze mną.

Właściwie nie powinnam się nad tym zastanawiać po tym, co mi zrobił. A jednak... Myśl o nim wraca, niechciana, lecz uporczywa.

Oczywiście nie zamierzam tego sprawdzać. Każde z nas ma teraz własne życie. Przez dwa lata łączyła nas, jak wtedy sądziłam, piękna i szczerą relacją, głęboka więź... Jednakże wszystko potoczyło się inaczej. Widocznie byliśmy sobie pisani tylko na chwilę.

Cóż, nie będę udawać, że nie wracałam do tamtych wydarzeń setki razy, próbując zrozumieć, co skłoniło go do tak drastycznego kroku: zostawienia mnie. Byłabym kłamczuchą, twierdząc inaczej. Z czasem doszłam jednak do wniosku, że nie ma sensu rozdrapywać starych ran. Tak miało być i koniec.

Wiem jedno, muszę trzymać się z daleka od jego rancza. Zrobię wszystko, by wieści o moim powrocie nie dotarły do Milana zbyt szybko. Nie może dowiedzieć się o Leo.

Nie mam pojęcia, jak długo tu zostaniemy, lecz jedno jest pewne. Chcę trzymać mojego syna z dala od jego ojca.

Na szczęście Leo jest do mnie bardzo podobny. Nikt nie wpadnie na to, że w jego żyłach płynie krew Hallów.

Moje rozmyślenia przerywa nagły dzwonek telefonu. To Lisa, moja przyjaciółka i zarazem szefowa.

– Halo – rzucam zmęczona.

– Cześć, skarbie – mówi łagodnie. – Mam nadzieję, że u ciebie wszystko w porządku?

– Nic nie jest dobrze, Lisa – wzdycham z bólem w głosie. – Mojej mamie pękł w głowie tętniak, o którym nie wiedziała.

Wciąż nie mogę uwierzyć, że takie okropieństwo spotkało właśnie ją. Tak serdeczną osobę, z sercem na dłoni, która pomaga wszystkim dookoła, nie oczekując niczego w zamian.

– O mój Boże, Leah! – Przyjaciółka jest wyraźnie wstrząśnięta. – Tak mi przykro. Jak ona się czuje?

– Przeszła operację. Lekarze mówią, że była udana, jej stan jest stabilny, ale... – Zawieszam głos. – Pierwsze dwadzieścia cztery godziny są kluczowe. Dopiero gdy się wybudzi, będą mogli sprawdzić, czy nie doszło do trwałych zmian neurologicznych.

– Leah, kochana... – wypowiada cicho. – Nie wiem, co powiedzieć. To musiał być dla ciebie ogromny szok. Jeśli tylko zechcesz, zaraz wsiądę w samolot i przylecę do ciebie – oferuje.

To miłe z jej strony, jednak prowadzi własny biznes i nie może zostawić go bez nadzoru, zwłaszcza teraz, kiedy ja wyjechałam.

– Dziękuję, ale nie trzeba – odpowiadam. – Wystarczy mi to, że myślami jesteś ze mną.

– Zawsze. Jedno twoje słowo i będę przy tobie. I nie martw się o pracę – zapewnia. – Wszystko jest pod kontrolą.

– Wiem i jestem ci za to ogromnie wdzięczna, Lisa – przyznaję z ulgą. – Cieszę się, że mam kogoś takiego jak ty. Jesteś dla mnie ogromnym wsparciem.

W jej głosie wyczuwam, że chce jeszcze o coś zapytać. Zapada chwilowa cisza, nim przyjaciółka w końcu się odzywa.

– Widz... Widziałaś...

– Nie – przerywam jej stanowczo. – Dopiero co tu przyjechałam. Liczę na to, że uda mi się tego jakimś cudem uniknąć.

Lisa wie o Milanie i o tym, co wydarzyło się między nami przed laty. Miała ochotę skopać mu jaja, ale po co? Dla mnie to już

zamknięty rozdział.

– To dobrze – stwierdza tylko. – No nic, nie będę zawracać ci głowy. Pamiętaj, że jak coś, to jeden telefon i jestem w Cheyenne – przypomina. – Daj mi znać, co powiedział lekarz, bo nie będę mogła znaleźć sobie miejsca.

– Jeszcze raz ci dziękuję, Liso, i przepraszam, że tak nagle wyjechałam, zostawiając cię samą w klinice. Sama rozumiesz, że nie mogłam postąpić inaczej. – Jest mi przykro, lecz mama jest ważniejsza.

– Nie przejmuj się tym. Poradzę sobie – uspokaja mnie. – Ściskam cię mocno, buziaki! – rzuca, po czym się rozłącza.

Kończę herbatę i mam już wstać, by wejść do środka, gdy nagle na taras wchodzi Leo. Uśmiecham się na jego widok, a kiedy podchodzi do mnie, zaczynam mierzwić jego blond czuprynę. A jednak ma w sobie coś z ojca.

– Głodny? – pytam.

– Jak wilk, mamusiu. – Przytula się do mnie, a ja zaciągam się jego zapachem.

– Na co masz ochotę? – Podnoszę się z wiklinowego fotela, ale nie spuszczam młodego z oka.

Zastanawia się chwilę, po czym wykrzykuje:

– Naleśniki!

Razem ruszamy do kuchni. Proszę go, by usiadł przy stole, a ja sama zabieram się za przygotowanie posiłku. Jak dobrze, że to nic pracochłonnego – czuję się wypompowana z emocji i chcę jak najszybciej wrócić do szpitala.

W drodze powrotnej będę musiała zahaczyć o sklep, bo choć Leo nie jest wybredny, owsianka na śniadanie to jego „must have”.

Kiedy syn kończy jeść, szybko sprzątam i razem wracamy do szpitala. Okazuje się, że mama jest przytomna, choć wycieńczona, i pozostaje na intensywnej terapii. Rokowania są bardzo dobre. Lekarze twierdzą, że na razie nie pojawiły się żadne niepokojące symptomy związane z rozlanym tętniakiem. I oby tak pozostało. Kamień spada nam z serc i możemy odetchnąć z ulgą.

Przed nią długa droga do odzyskania pełni sił, ale ma nas i pomożemy jej przejść ją krok po kroku.

Z tego, co jeszcze mówił doktor, mamę mają przewieźć jutro albo pojutrze na oddział neurochirurgii, gdzie wreszcie będziemy mogli ją zobaczyć.

Po zapewnieniach, że wszystko jest pod kontrolą, tata daje się namówić, by wrócił z nami do domu i odpoczął, choć zapowiada, że z samego rana znów pojawi się w szpitalu.

Rozdział drugi

Milan

Codziennie zaczynam dzień o wschodzie słońca od samotnej przejażdżki na moim wierzchowcu. Kocham te pierwsze promienie słońca i wiatr smagający moją twarz. To mój czas. Mój moment, w którym mentalnie przygotowuję się na zapierdziel, jaki czeka mnie na ranczu. Podczas galopu czuję się wolny. Jestem tylko ja i mój koń.

Jazda konna mnie relaksuje i często pozwala mi się wyciszyć, gdy tego potrzebuję. Czasami, kiedy chcę побыć sam, siodłam jednego z moich ogierów i przemierzam ranczo wzdłuż i wszerz.

W trakcie tych przejażdżek nieraz wracają do mnie obrazy z przeszłości i wtedy ogarniają mnie złość, żal oraz smutek. Rzadko kiedy pojawiają się przy tym pozytywne emocje. Staram się jednak jak najszybciej wyrzucać te myśli z głowy. To, co było, już dawno przeminęło. Trzeba żyć tym, co tu i teraz, i patrzeć przed siebie.

Ciekawe, czy ona... Kręcę głową. Nie, nie chcę zbaczać w tamte rejony. Ten statek już dawno odpłynął. Zresztą, to nie moja sprawa. Czas zabrać się za obowiązki, które na mnie czekają.



Pracuję właśnie w stajni, przygotowując konie do odbioru. Sprzedaliśmy ostatnio trzy ogiery czystej krwi angielskiej, a dzisiaj ma zjawić się kupiec, by raz jeszcze je obejrzyć i zabrać na swoje ranczo.

Odkąd sięgam pamięcią, konie zawsze były częścią mojego życia. Czułem z nimi wyjątkową więź. Jakby rozumiały mnie lepiej niż niejeden człowiek.

Rebel, Shadow i Blackjack są już gotowi, a w chwili, gdy wychodzę na zewnątrz rozprostować kości, podjeżdża pick-up Arnolda Younga. Zaraz za nim wjeżdża transporter do przewozu zwierząt.

– Witaj, Milan – mówi mężczyzna, podchodząc do mnie z wyciągniętą dłonią, którą pewnie ściskam. – Konie gotowe?

– Oczywiście, panie Young. Jak zawsze – odpowiadam. – Chce pan jeszcze raz rzucić okiem na ogiery?

– Nie trzeba, chłopcze. – Klepie mnie po plecach z zadowoleniem.

Jeden z moich pracowników wyprowadza kolejno zwierzęta i pomaga załadować je do transportera. Razem z Arnoldem stoimy z boku i przyglądamy się całemu procesowi.

– Jak zwykle pierwsza klasa – mówi z uznaniem. – Lubię robić z tobą interesy. Jeszcze dziś zlecę przelew.

– W takim razie dziękuję i do następnego – rzucam, wyciągając rękę.

Young uśmiecha się, ściska ją i kiwa głową.

– Twój ojciec byłby z ciebie dumny. Godnie zająłeś jego miejsce – dodaje, dotykając róna kapelusza na pożegnanie. Wraca do swojego pick-upa i odjeżdża.

Przez chwilę patrzę za znikającym pojazdem, po czym wracam do stajni. Mój stary zmarł niespodziewanie dwa lata temu. Zawał serca.

Od tamtej pory to ja trzymam pieczę nad Double H. Co prawda mam młodszą siostrę, ale to ja zostałem głową rodziny.

Siodłam Whiskey i jeszcze raz ruszam na przejażdżkę. Chcę sprawdzić, czy ogrodzenie w północnej części rancza zostało naprawione.

Kilka chwil później widzę już, że chłopaki ogarnęli temat. Bardzo dobrze. Spokojnie wracam do stajni i zastaję tam swojego przyjaciela, który czeka na mnie, mieląc w ustach żdźbło trawy.

– Hej, brachu – wita się ze mną.

Zeskakuję z konia i oddaję lejce Owenowi, żeby go rozsiodłał. Siadam na belce siana obok kumpla.

– Co tam? – pytam, zdejmując kapelusz i kładąc go na kolanie, po czym przeczesuję palcami spocone włosy.

Sean podaje mi schłodzone piwo. Jednym haustem opróżniam pół butelki. Dokucza mi pragnienie, bo z nieba leje się dzisiaj skwar. Dobrze, że już południe. Jeszcze tylko muszę zajrzeć do obory. Z tego, co mówił zarządca, jedna z krów wygląda na niemrawą.

– Nic specjalnego, byłem dzisiaj ze starym na wystawie bydła. – Przewraca oczami. – Nuda.

Parskam śmiechem, ponieważ mój kumpel zdecydowanie nie jest stworzony do pracy na ranczu, nigdy nie był i nigdy nie będzie. Jego ojciec cały czas grozi mu, że jeśli się nie ogarnie i nie znajdzie sobie żony, to przepisze cały majątek na jego siostrę, a zarządzanie przejmie jej mąż. To podziałało na niego jak kubeł zimnej wody, ale, jak widać... nie na długo.

Ja tam jestem stworzony do tego, by być ranczerem. Naprawdę urodziłem się do tej roboty. Kocham to, co robię i nie zamieniłbym tego na nic innego.

– Uważaj, bo tatuś znowu ci pogrozi i zdegraduje do czyszczenia stodoły i końskich góvien – żartuję sobie, na co Sean się wkurza.

– Pieprz się, Milan – warczy.

– Będę, tylko później – odpowiadam z bezczelnym uśmiechem i poruszam brwiami. – Moja kobieta kończy dyżur w szpitalu o siódmej, a na ósmą jesteśmy umówieni u niej w domu.

Sandra jest moją narzeczoną od trzech lat. Niedawno zaczęła przygotowania do naszego ślubu zaplanowanego na koniec września. Zostało mi jeszcze nieco ponad trzy miesiące kawalerskiego życia. Pora się wreszcie ustatkować.

– Będziecie się bawić w lekarza i pacjenta? – śmieje się Sean, upijając łyk piwa.

Pukam się w czoło i nic na to nie odpowiadam. Dopijam piwo, odstawiam butelkę na bok i podnoszę się, otrzepując robocze spodnie.

– Muszę zajrzeć do krów. Jedna jest ostatnio jakaś nieswoja. Idziesz ze mną? – pytam. – Zadzwonię do Thomsona, żeby przyjechał i rzucił okiem na panienkę. Wydaje mi się, że z Griseldą naprawdę coś jest nie tak.

– Że nazywasz konie, to jeszcze mogę zrozumieć, ale krowy? – nabija się kumpel.

Wzruszam ramionami. Co mam mu powiedzieć? Lubię porządek, nawet jeśli chodzi o krowy.

– No to idziesz, czy nie? – ponawiam pytanie.

Sean potakuje i razem ruszamy w stronę nowoczesnej obory. Na naszym ranczu wszystko jest z najwyższej półki, dlatego mamy tak dobrą opinię wśród innych ranczerów. Co się dziwić, Double H to

jedno z największych i najlepiej zarządzanych rancz w całym stanie Wyoming.

– Słyszałeś w ogóle, że tydzień temu Marlene Thomson trafiła do szpitala? – pyta niespodziewanie mój przyjaciel, a ja zatrzymuję się raptownie.

– Serio? Wiesz, co się stało? – dopytuję.

– Ludzie gadają, że tętniak w głowie jej się rozlał i musiała przejść pilną operację – odpowiada, drapiąc się po brodzie. – Ponoć wszystko skończyło się dobrze.

Kurwa, muszę zadzwonić do Normana i zapytać o jej zdrowie.

Nagle dociera do mnie, że przez to do miasta może wrócić Leah. W końcu to jej matka. Ja pierdołę! Coś ciężkiego osiada mi na piersi. Nie widziałem jej przez dziesięć jebanych lat i nie wiem, czy dam radę znieść jej widok, jeśli ją spotkam. Niech to szlag jasny trafi! Najeżam się i mam ochotę w coś z całej siły przypierdolić.

– Dobrze się czujesz, Milan? – Sean patrzy na mnie zaskoczony, nie rozumiejąc, skąd u mnie ta nagle zmiana nastroju.

– Nie, do chuja – syczę. – Ona na pewno tu przyjedzie.

– Kto? – pyta zdezorientowany, a ja mam ochotę trzasnąć go w łeb. Co też robię. – A to za co? Pojebało cię? – burzy się.

– Leah – rzucam krótko. Moja pierwsza prawdziwa miłość. Mój pieprzony narkotyk.

Jednak ona i ja to przeszłość. Zapomniałem o niej. Wyrzuciłem ją z głowy. Tylko dlaczego na samą myśl o niej ściska mnie w żołądku? Stop, Milan. Masz Sandrę. Twoją przyszłą żonę.

– O ja cię chrzanię – mruczy Sean. – Będzie jazda.

– Wal się. Mam ją w dupie – stwierdzam pewny siebie. – Nie interesuje mnie. Było, minęło.

Szybkim krokiem ruszam w stronę obory. Nie chcę, żeby kumpel dalej drążył temat mojej bylej. Widzę, że chce jeszcze coś powiedzieć, ale zatrzymuje go mój morderczy wzrok.

Leah Thomson to, kurwa mać, temat tabu!



Po prysznicu szykuję się do wyjścia. Niedługo mam randkę z Sandrą. Przez ostatni tydzień widywaliśmy się rzadko, ponieważ miała nocne dyżury w szpitalu. Zapinam koszulę w czerwoną kratę, wkładam ciemne jeansy, kowbojki i kapelusz.

Muszę jeszcze po drodze wpaść do Walmartu po butelkę jej ulubionego wina.

Parkuję pick-upa pod hipermarketem i wchodzę do środka. Po chwili wpada mi do głowy pomysł, by dorzucić do koszyka pudełko lodów waniliowych. Wiem, jak je później wykorzystam.

Wychodzę zza rogu alejki i zderzam się z kimś przypadkowo.

– Najmocniej przepraszam – mówię ze śmiechem, który momentalnie zamiera mi na ustach, gdy unoszę głowę i widzę, kogo prawie poturbowałem.

Wszechświat naprawdę musi mnie nienawidzić.

Wpatrujemy się w siebie nawzajem, żadne nie spuszcza wzroku z twarzy drugiej osoby. Nadal jest piękna. Lata tylko dodały jej kobiecości. Kiedyś była szczupła do przesady i często dogadywałem jej, że mógłbym policzyć wszystkie kości w jej ciele. Teraz ma

pełniejsze biodra, większy biust i... wygląda jeszcze seksowniej niż wtedy.

Nie wiem czemu, ale spoglądam na jej dłoń. Szukam obrączki, lecz jej nie widzę. Choć w sumie brak biżuterii wcale nie oznacza, że nie ma męża. Może po prostu jej nie nosi.

Powinniśmy się ruszyć. Zrobić krok. Cokolwiek. Jednak stoimy, jakby nas замуrowało. Ja chyba wrosłem w podłogę. Potrząsam lekko głową, wybudzając się z letargu, po czym się prostuję.

– Leah – wypowiadam twardo.

– Milan – mówi nadzwyczaj spokojnie, po czym, jak gdyby nigdy nic, mija mnie i odchodzi.

Co jest, do chuja?

Odwracam się i patrzę za nią, jak znika między półkami. Stoję przez chwilę jak skończony idiota, po czym otrząsam się, idę do kasy, płacę za drobne zakupy, wychodzę ze sklepu i wsiadam do auta.

Pieprzona, Leah Thomson!

Po co tu wracała? Wkurzony walę w kierownicę i krzyczę z frustracji. Wciąż wzburzony, wrzucam wsteczny, wycofuję z parkingu i odjeżdżam z piskiem opon.

Zajeżdżam pod dom Sandry i bez pukania wchodzę do środka. Moja narzeczona siedzi na kanapie, ale gdy mnie widzi, natychmiast wstaje. Nie czekając, wpijam się w jej usta. To nie jest delikatny pocałunek, lecz muszę się wyładować, a zrobię to tylko poprzez seks.

Podrywam ją do góry i zanoszę do sypialni, po czym rzucam na łóżko. Pewnie myśli, że się za nią stęskniłem, a tak naprawdę nie ma pojęcia, jaka burza rozpętała się w mojej głowie. I kto jest tego sprawcą.

Zrywam z niej spodenki razem z majtkami i sam pozbywam się moich jeansów oraz bokserek. Wyciągam z nocnej szafki prezerwatywę, którą szybko naciągam na sterczący członek i bez żadnego uprzedzenia wbijam się w cipkę Sandry. Wiem, że będę tego żałował, nie powinienem brać jej w tak brutalny sposób ani tak jej traktować, lecz jest to silniejsze ode mnie. Posuwam ją naprawdę ostro i niezmordowanie.

Sandra zaczyna krzyczeć i sam nie wiem, czy to z bólu, czy może z rozkoszy. Później jej to wszystko wynagrodzę, lecz teraz musi być po mojemu, dopóki się nie uspokoje.

Poruszam mocno biodrami, chcąc wymazać z umysłu obraz Leah, ale jest to zbyt trudne zadanie. Zaczynam jęczeć, bo czuję, że zbliżam się do finału. Otwieram oczy i patrzę na moją narzeczoną, lecz to nie ona leży pode mną, tylko Leah. Kurwa! Przyspieszam swoje ruchy z warknięciem i po kolejnych kilku pchnięciach dochodzę z głośnym okrzykiem.

Opadam bezwładnie na Sandrę, mając świadomość, że przyciskam ją do materaca moim ciężkim ciałem. Nie mam pojęcia, czy jej także udało się osiągnąć spełnienie. Zaczyna mnie gładzić po plecach, a ja czuję się jak skończony kutas, że tak ją wykorzystałem. Schodzę z niej i układam się tuż obok, starając się wyrównać oddech.

– Przepraszam, skarbie – mówię, unikając jej spojrzenia.

– Ktoś tu się chyba za mną stęsknił. – Wtula się w mój bok i całuje mnie w ramię.

Gdyby tylko wiedziała, dlaczego tak na nią napadłem, wyrzuciłaby mnie stąd na zbity pysk.

– W końcu nie widzieliśmy się od tygodnia. – Kłamstwo od razu uwiera mnie jak kamień w bucie.

Nigdy więcej czegoś takiego nie zrobię. Leah Thomson to przeszłość. Zamknięta na cztery spusty. I nie mam najmniejszego zamiaru do niej wracać.

– Zamówimy coś do jedzenia? Zgłodniałam po tym dzikim seksie.
– Sandra puszcza mi oczko i podnosi się z łóżka. – Będę jutro obolała
– beszta mnie żartobliwie.

Zmuszam się do uśmiechu. Nie chcę dać po sobie nic poznać. Jednak prawda jest taka, że powinienem po prostu wstać i wyjść. Bo i tak przez cały ten czas, zamiast być tu z Sandrą, byłem gdzieś indziej. Myślami, obrazami, wspomnieniami. Z Leah.

W ekspresowym tempie doprowadzam się do porządku i dołączam do narzeczonej. Siedzimy razem w salonie, czekając na pizzę. Nalewa nam po kieliszku wina, po czym chowa do zamrażarki topniejące lody.

Planowałem zostać u niej na noc. Naprawdę. Teraz jednak wiem, że nie dam rady.

A wszystko przez kobietę, która powinna na zawsze zostać w mojej przeszłości.

Rozdział trzeci

Leah

Na szczęście z mamą wszystko jest w porządku, co mogliśmy zobaczyć na własne oczy. Dwa dni po operacji została przeniesiona na oddział neurochirurgii, gdzie dochodzi do siebie. To dzięki szybkiej reakcji taty została błyskawicznie przetransportowana do szpitala i natychmiast trafiła na stół operacyjny. A teraz opłacił jej prywatny pokój, żeby miała ciszę i spokój i by mogła w pełni wypoczywać. Napędziła nam niezłego stracha, lecz najgorsze już za nami.

Nie wiemy jeszcze, jak długo pozostanie pod opieką lekarzy, zanim wróci do domu, lecz to teraz najmniej istotne. Jest bezpieczna, ma zapewnioną stałą opiekę i fachową pomoc, co pozwala nam odetchnąć z ulgą.

Minął już tydzień, odkąd mama przebywa w szpitalu. Codziennie ją odwiedzamy, ale staramy się jej nie przemęczać, ponieważ potrzebuje odpoczynku, by zregenerować siły. Tata spędza z nią najwięcej czasu, jednak ja i Leo również do niej zaglądamy, choćby na chwilę. Mój syn jest energicznym i głośnym dzieckiem, a hałas w jej obecnym stanie zdecydowanie nie jest wskazany.

Jest już wieczór, kiedy Leo nagle sobie przypomina, że obiecałam mu upiec ciasto czekoladowe. Jako dobra matka zostawiam go więc pod opieką dziadka, wsiadam do auta i jadę do sklepu po potrzebne

składniki. Najbliżej mam do Walmartu, dlatego kieruję się właśnie tam.

Na miejscu przemierzam alejki, przy okazji wrzucając do koszyka kilka potrzebnych w domu produktów. Biorę trochę owoców i już mam skręcić w stronę lodówek z lodami, gdy niespodziewanie na kogoś wpadam. Chcę niezwłocznie przeprosić, bo to właściwie moja wina, lecz zostaję uprzedzona.

Najpierw rozpoznaję ten tembr głosu, a potem podnoszę wzrok i... zamieram. Dobrze mi szło unikanie Milana Halla, ale pech chciał, że właśnie dziś musiałam tu na niego trafić. Choć prawda jest taka, że unikanie spotkania było tylko odwlekaniem nieuniknionego. Prędzej czy później i tak by do niego doszło. Całe szczęście Leo został z dziadkiem w domu.

Zmęśniał. Rysy twarzy wyostrzyły mu się jeszcze bardziej, a pod oczami pojawiło się kilka zmarszczek. Zdecydowanie stał się przystojniejszy, jednak w jego spojrzeniu nie dostrzegam już tych iskier, które kiedyś tak bardzo kochałam. Ściska mnie w piersi, ale on nie jest już mój i nie mam do niego żadnych praw.

Dyskretnie zerkam na jego dłoń, szukając obrączki, lecz żadnej nie dostrzegam. Czuję ulgę, choć nie powinnam. Patrzymy na siebie uparcie, nie mogąc oderwać wzroku. Moje serce jakby na moment się zatrzymało... jednak to bez znaczenia. Nie jesteśmy już drużyną. Występujemy solo. Każde z nas poszło w swoją stronę, chociaż ja nigdy tego nie chciałam. To on zdecydował za nas oboje.

Gdy wypowiada moje imię, nogi pode mną miękną, i gdyby nie wózek, którego kurczowo się trzymam, runęłabym jak długa. Sposób, w jaki je wymawia, jest mocny i stanowczy. Bez krzty jakichkolwiek uczuć. Muszę natychmiast odejść, bo inaczej się rozkleję. Również

wypowiadam jego imię i czym prędzej odchodzę, omijając go starannie. Czuję, jak spojrzeniem wypala mi dziurę w plecach, lecz nie pozwalam sobie się odwrócić.

Chowam się w pierwszej lepszej alejce, pochylam się i łapię szybki oddech. Mój Boże, moje uczucie do niego wcale nie wygasło. Kilka sekund w jego towarzystwie wystarczyło, by wszystko wróciło ze zdwojoną siłą. Nie mogę tego po sobie pokazać. Jestem matką i to Leo jest moim priorytetem.

Kończę zakupy i wracam do domu. Tuż przed wejściem zatrzymuję się na moment, by zebrać myśli i założyć na twarz wesołą maskę, żeby mój syn i ojciec nie zauważyli, w jak podłym jestem nastroju.

Już od progu słyszę wołania Leo:

– Mamusiu, kupiłaś wszystko? – upewnia się, że niczego nie zapomniałam.

– Oczywiście, a pomożesz mi zrobić ciasto? – pytam go, stawiając zakupy na kuchennym stole.

Udaje, że się zastanawia, po czym szeroko się uśmiecha.

– Jeszcze pytasz? Co mam robić? – Od razu chce się zabrać do pracy i czeka, aż przydzielę mu zadanie.

– Może na dobry początek rozpakuj te torby. – Puszczam mu oczko.

Zaczyna wyciągać produkty, a gdy dostrzega truskawki, aż się rozpromienia. To jego ulubione owoce. Milana też... Leah, przestań zapuszczać się w te rejony, upominam sama siebie.

– Gotowe, mamusiu szefowo! – woła z dumą Leo.

– Dziękuję, synku. – Całuję go w czoło. – Teraz wyjmij dużą miskę z szafki i mały garnek na polewę – instruuję go.

Szybko wykonuje moje polecenia, a ja przygotowuję wszystkie składniki i włączam piosenkę *Take me home, country roads* Johna Denvera.

Zaczynamy śpiewać i wspólnie pichcić. Mamy przy tym mnóstwo frajdy i nawet mój ojciec do nas dołącza. Brakowało mi takiej rodzinnej atmosfery. Szkoda tylko, że mama nie może być z nami.

Bałam się powrotu do Cheyenne, ale cieszę się, że tu jestem. Nawet jeśli jedynie na jakiś czas. Żal tylko, że powodem są tak trudne okoliczności.

Mimo wszystko to właśnie tutaj czuję, że jestem u siebie.



Rano wchodzę do kuchni, bo zwabił mnie do niej zapach świeżo parzonej kawy.

– Dzień dobry, córciu – wita mnie tata.

– Dobry, dobry – odpowiadam. – Kawy, błagam kawy. – Składam ręce jak do modlitwy.

Ojciec parska i wręcza mi kubek z gorącym napojem bogów.

– Jesteś wielki, ojczy – mówię z wdzięcznością, kłaniając mu się teatralnie.

Żartobliwie uderza mnie ścierką po głowie.

– Weź, zabrzmiało to, jakbyś zwracała się do wielbnego – wypala z rozbawieniem.

Zanosimy się śmiechem i siadamy przy stole. Przeciagam się leniwie, zerkając przez okno. Szykuje się kolejny gorący dzień.

– Mam do ciebie sprawę, Leah, i ogromną prośbę – zaczyna poważnie.

Natychmiast skupiam na nim całą uwagę.

– Mama najprawdopodobniej niedługo zostanie wypisana ze szpitala.

No tak...

– Kiedy wróci do domu, będę musiał się nią zaopiekować. W tym czasie potrzebuję, żebyś przejęła moje obowiązki w klinice.

Jego propozycja mnie zaskakuje. Nie jestem pewna, czy to dobry pomysł. Nie chcę się zbyt wycofać, a praca w klinice zdecydowanie mi tego nie ułatwi. Poza tym nie przyjechałam do Cheyenne na stałe. Prędzej czy później będę musiała wrócić do Dallas i do swoich spraw.

– Nie wiem, tato – waham się. – Chad już u ciebie nie pracuje?

– Pracuje, ale potrzebuje wsparcia, sam wszystkiego nie ogarnie – odpowiada z wyraźnym zmartwieniem. – Jest dużo wizyt wyjazdowych, a ktoś musi zostać na miejscu – tłumaczy, zawieszając na mnie spojrzenie. – Proszę, Leah. Ta klinika i tak kiedyś będzie należeć do ciebie. Potraktuj to jako próbę generalną.

– Staruszkule, ty jeszcze masz sporo pary, więc zanim mi przekażesz ten nasz rodzinny interes, minie sporo czasu. – Uśmiecham się przekornie.

– Ej, tylko nie staruszkule. Wypraszam sobie – rzuca z udawaną urazą.

Nie mogę mu odmówić. Wiele zawdzięczam zarówno jemu, jak i mamie. Ma rację, ponieważ jeśli ktoś ma się nią dobrze zaopiekować, to właśnie on.

– Masz szczęście, że Leo ma teraz wakacje – oznajmiam. Inaczej pewnie nie zostałabym tu aż tak długo.

Jednak to moja rodzina, a rodzinie trzeba pomóc.

– Czyli zgadzasz się? – pyta z nadzieją w głosie.

– Tak, ale zacznę od jutra, dobrze?

Ojciec kiwa głową z wyraźną ulgą.

– Dam znać Chadowi – mówi, podnosząc się od stołu, by sięgnąć po telefon. – Możesz korzystać z mojego gabinetu. Znajdziesz tam wszystko, czego będziesz potrzebować. – Już prawie wychodzi z kuchni, lecz jeszcze się zatrzymuje. – Ty będziesz pracować na miejscu, a Chad zajmie się wizytami wyjazdowymi.

– W porządku – mruczę, dopijając ostatni łyk kawy.

Myję brudne kubki, a potem wychodzę na taras, by odetchnąć świeżym powietrzem. Muszę zaplanować coś na dziś dla syna, żebyśmy mogli spędzić razem więcej czasu. Mam ochotę zabrać go nad jezioro na ranczo Hallów. To moje ulubione miejsce, lecz nie chcę ryzykować. W końcu kiedyś Milan powiedział, że bym się nigdy więcej nie zbliżała do Double H.

– Załatwione, skarbie. – Tata dołącza do mnie na patio. – Jadę do mamy, ale Leo chyba jeszcze śpi, co?

– Tak, dzisiaj odsypia – potwierdzam.

– W takim razie nie będę na was czekał. Dojedziecie na spokojnie.

Potakuję i całuję ojca w policzek, a on wychodzi, zostawiając mnie samą.

No to od jutra czas wziąć się do roboty.

Koniec z obijaniem się.



– Jak się miewa najlepsza mama i babcia na świecie? – pytam, wchodząc do pokoju mojej matki.

Leo drepcze za mną i od razu siada na krześle obok babci.

– Moje skarby, jak dobrze was widzieć. – Mama uśmiecha się do nas lekko, choć widać, że przychodzi jej to z trudem.

– Jak się czujesz? – dopytuję, chwytając ją za rękę.

– Potwornie boli mnie głowa, mam zawroty i jestem osłabiona – wymienia.

Szkoda mi jej. Okropnie się męczy, a rekonwalescencja może potrwać jeszcze długie tygodnie. Ciężko mi patrzeć na to, jak bardzo jest bezbronna, ponieważ zawsze tryskała energią.

– Dojdiesz do siebie. Przeszłaś poważną operację, ale z każdym dniem będzie tylko lepiej – zapewniam. – Wrócisz do formy i znów nikt cię nie zatrzyma.

– Masz rację, kochanie. – Ściska mnie za dłoń.

Siedzimy u niej ponad godzinę, aż mojemu synowi włącza się słowotok, co jest dla mnie jasnym sygnałem, że pora się zbierać. Poza tym widać, że mama jest zmęczona, bo zaczyna przysypiać. Żegnamy się i obiecujemy, że wpadniemy jutro z samego rana, zanim zacznę pracę.

Nie chce nam się wracać do domu, więc postanawiam zabrać Leo na małą wyprawę. Pokazuję mu kilka moich ulubionych miejsc w Cheyenne, a on chłonie wszystko z dziecięcą ciekawością i uwagą, które zawsze mnie rozczulają. Na koniec serwujemy sobie coś

słodkiego. Lody w Cold Stone. Niestety w środku, w klimatyzowanym wnętrzu, nie ma wolnych stolików, dlatego siadamy na zewnątrz, w cieniu drzewa, skąd mamy świetny widok na okolicę.

– Jaki smak wybierasz? – pytam synka, udając, że zapomniałam, co lubi najbardziej.

– Serio, mam? – Patrzy na mnie z niedowierzaniem i nutą oburzenia.

Wzrusza mnie ten jego rozbrajający wyraz twarzy. Mój słodki chłopczyk. Oddałabym za niego życie i bez wahania wskoczyłabym za nim prosto w ogień.

– Mam wrażenie, że chyba wanilia i czekolada będą strzałem w dziesiątkę, zgadza się? – Stukam palcem w usta, na co Leo zaczyna się wiercić z podekscytowania.

– Taaak! – wykrzykuje radośnie.

Kelner przyjmuje nasze zamówienie i przez chwilę czekamy na deser. Gdy tylko stawia przed nami wypełnione po brzegi pucharki, od razu zabieramy się za pałaszowanie. Leo brudzi sobie całą buzię, ale się tym nie przejmujemy. Co to za zabawa, jeśli nie można się trochę ubrudzić przy jedzeniu lodów?

Rozglądam się po okolicy i mój wzrok zatrzymuje się na Milanie, który stoi po drugiej stronie ulicy z jakąś kobietą. Rozmawiają i uśmiechają się do siebie, po czym wsiadają razem do jego, jak zakładam, furgonetki i odjeżdżają. Ciekawe, kto to był, bo na pewno nie jego siostra, Brianna. Zresztą... co mnie to obchodzi?

No właśnie, jak na złość obchodzi, choć nie powinno.

Tracę apetyt, lecz mimo wszystko kończę swoją porcję, inaczej Leo od razu zapytałby, dlaczego nie jem. Gdyby tylko wiedział, że to przez jego ojca. Tego, który złamał mi serce.

A jednak... pomimo wszystko jestem Milanowi za coś wdzięczna. Dał mi najcenniejszy dar: idealnego syna. Częstkę siebie, która zostanie ze mną na zawsze.

Pewnie gdyby dowiedział się, że Leo to jego dziecko, znienawidziłby mnie, że przez te wszystkie lata trzymałam to w tajemnicy. Ale miałam wtedy tylko dwadzieścia lat. Byłam młoda, zagubiona, zaślepiona bólem. Chciałam po prostu uciec. I zapomnieć.

Niby miałam mnóstwo czasu, żeby mu powiedzieć, lecz zdecydowałam, że najlepiej będzie tego nie robić. Teraz jest już za późno, by wywracać nasze życia do góry nogami. Przecież i tak za jakiś czas wyjadę, na ten moment nie planuję przeprowadzki do Cheyenne.

Reguluję rachunek i ruszamy w stronę samochodu, po czym jedziemy do domu. Tata też już wrócił i właśnie przygotowuje obiad. O nie, nie. Po tak obfitym deserze nie ma mowy, żebym coś jeszcze zmieściła.

Zmykam pod szybki prysznic, bo lepię się od potu. Narzucam domowe ciuchy i dołączam do dwóch najważniejszych mężczyzn w moim życiu.



Wchodzę do budynku, w którym mieści się klinika weterynaryjna mojego ojca. Sue, recepcjonistka, siedzi na swoim miejscu, lecz na mój widok szybko wychodzi zza długiej lady i mocno mnie przytula.

– Leah, jak dobrze cię widzieć, dziecko – wita się ze mną ciepło. – Ile to już minęło, odkąd wyjechałaś? Osiem lat?

– Dzień dobry, Sue. Dziesięć – poprawiam ją z uśmiechem.

– Szmata czasu. – Kręci głową. – Mimo wszystko cudownie, że wróciłaś. – Klaszcze w dłonie, wyraźnie zadowolona. – Norman dzwonił wczoraj i uprzedził, że zajmujesz jego miejsce. To świetnie, bo od zawsze kochałaś zwierzęta, więc ta praca jest wręcz stworzona dla ciebie. Napijesz się kawy? Wiesz, gdzie jest gabinet twojego ojca? Jak ci się wiedzie?

Nadaje jak katarynka, a ja nie wiem nawet, na które pytanie odpowiedzieć najpierw. Pamiętam, gdzie co jest, ale muszę się stąd ulotnić, bo od tego słowotoku zaraz rozboli mnie głowa.

– Wszystko wiem, Sue. – Poklepuję ją po ramieniu. – Jeśli to nie problem, poprosiłabym kawę z mlekiem i dwiema łyżeczkami cukru.

– Oczywiście, kochanieńka. – Potakuje gorliwie. – Zaraz ci przyniosę. Za dziesięć minut przychodzi pani Newton na kontrolę z psem. Jest po operacji biodra.

– Dzięki za informację, będę u siebie – mówię i ruszam do gabinetu zabiegowego.

Zakładam fartuch i siadam za biurkiem. Czuję, że wracam na właściwe tory. Od kilkunastu dni nie pracowałam i dopiero teraz uświadamiam sobie, jak bardzo mi tego brakowało. Przynajmniej jak wrócę do Dallas, nie będę miała problemu z ponownym wejściem w rytm, bo człowiek jednak łatwo się rozleniwia. Recepcjonistka przynosi mi kawę, a ja czekam na mojego pierwszego czworonożnego pacjenta.

Kilka godzin mija mi w mgnieniu oka i nawet nie miałam chwili, żeby odetchnąć. Tata miał rację: Chad sam nie dałby sobie z tym

wszystkim rady. To budujące widzieć, że klinika działa tak prężnie i cieszy się ogromnym zaufaniem wśród mieszkańców Cheyenne. Sue wspominała, że co rusz przybywają nowi klienci. Trudno się dziwić. Mój ojciec jest świetnym specjalistą z wieloletnim doświadczeniem i ogromnym sercem do zwierząt.

To właśnie od niego złapałam tego bakcyła. Chciałam pójść w jego ślady. Zaczęłam od biologii na Uniwersytecie Tekszańskim w Dallas, a później ukończyłam czteroletnie studia przygotowujące do zawodu lekarza weterynarii. Byłam najlepsza w swojej grupie. Moi profesorowie od razu zauważyli, że mam w sobie pasję i powołanie. Mówili, że zostałam stworzona do pracy ze zwierzętami.

Ziewam i przeciągam się, ponieważ jestem potwornie zmęczona. Klinika Lisy to przy tym pikuś. Tutaj to istny kosmos. Przynajmniej się nie nudzę. Teraz mam godzinne okienko, więc planuję podjechać do domu i sprawdzić, jak ma się Leo. Chciał dziś przyjechać tu ze mną, ale uznałam, że pierwszy dzień w nowej pracy to nienajlepszy moment. Obiecałam, że zabiorę go następnym razem. Już mam wychodzić, gdy do gabinetu wpada Sue.

– Złotko, właśnie dzwoniли z Double H. Trzeba zbadać jedną z krów – mówi szybko. – Podejrzewają, że coś jest z nią nie tak. Możesz się tym zająć?

Jeszcze tego mi brakowało. Wizyta na ranczu Milana to najgorszy możliwy pomysł.

– Niech Chad pojedzie – rzucam bez zastanowienia. – Ja akurat miałam skoczyć do domu.

– Chad jest na wyjeździe i wróci dopiero za jakieś trzy godziny, więc to musisz być ty – oznajmia stanowczo, zakładając ręce na biodrach. – Nie możemy odmówić Hallom.

To nie skończy się dobrze!

Zabieram torbę i jadę do jedyne go miejsca, w którym nie chcę się znaleźć. Im bliżej celu, tym bardziej czuję, jak rośnie we mnie niepokój. W Walmarcie wymieniliśmy z Milanem za ledwie jedno, grzecznościowe słowo. Teraz będę musiała z nim rozmawiać. Cholera. Jednak podejść do tego profesjonalnie. To nie czas na sentymenty, bo nie jadę tam na pogaduszki, tylko do pracy.

Zatrzymuję samochód przy oborze, którą wskazał mi jeden z pracowników. Wsiadam, po czym wchodzę do środka. Początkowo nikogo nie widzę, więc ruszam dalej w głąb, kierując się w stronę odgłosów rozmowy.

I wtedy go zauważam.

Milan stoi tyłem do mnie i zawzięcie z kimś dyskutuje. Podniósł głos i wymachuje rękami.

No dobra, czas zacząć to przedstawienie. Odchrząkuję głośno, by zwrócić na siebie uwagę.

Obaj mężczyźni odwracają się w moją stronę, lecz to Milan wpatruje się we mnie, jakby właśnie zobaczył ducha. Staram się zachować zimną krew, choć nie jest to proste.

– Co ty tu robisz? – warczy. – Prosiłem o weterynarza, a nie o ciebie, do chuja!

– Panie Hall, jestem weterynarzem i zastępuję mojego ojca – odpowiadam chłodno, z pełnym profesjonalizmem.

– Nie wydaje mi się – burczy z niedowierzaniem.

– Chce pan zobaczyć moje dyplomy i certyfikaty? – rzucam ostro, ponieważ zaczyna mnie irytować jego ton. – Jeśli nie, to proszę powiedzieć, co się dzieje, a ja zajmę się sprawą.

Dalsza część książki dostępna w wersji pełnej

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Od Autorki

Prolog

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci